

Rafał Aleksander Witkowski

s p o k ó j
i i n n e o p o w i a d a n i a

MAISONS-LAFITTE.PL

Rafał A. Witkowski

SPOKÓJ

i inne opowiadania

Warszawa, 2023

www.Maisons-Laffitte.pl

SPOKÓJ

i inne opowiadania

ISBN: 978-83-957651-4-8

Książka ta chroniona jest prawem autorskim.

Copyright Rafał A. Witkowski. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Fotografie w opowiadaniu pt. *Anglik w Nowym Jorku*:

Copyright Piotr Witkowski

Wszelkie prawa zastrzeżone

s. 7:



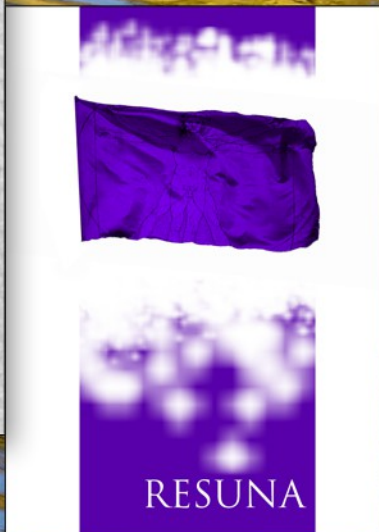
s. 63:



s. 14:



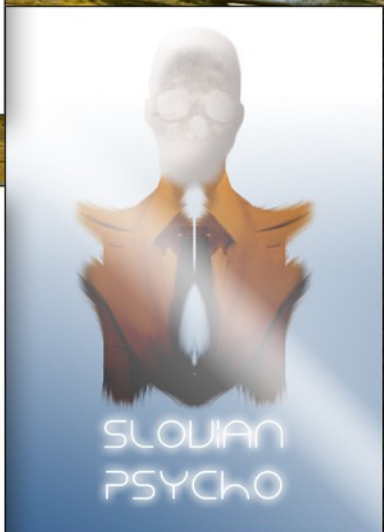
s. 82:



s. 25:



s. 100:



Tematem, jaki przewija się przez wszystkie opowiadania niniejszego zbioru jest spokój. Najbardziej namacalnie występuje on w pierwszym z nich (*Spokój*); ukazany tu został jako stan pożądany w obliczu traumy, którą bohater przepracowuje, antycypując pogląd psychologii na ten temat.

1498 to opowiadanie osadzone w piętnastowiecznej, teokratycznej Florencji, rządzonej przez Girolama Savonarolę; ukazuje niebezpieczeństwo, jakie może grozić osobie izolującej się we własnym świecie – w świętym spokoju, nie zaznajomionej w tematach ogólnych realiów.

Anglik w Nowym Jorku to opowieść o człowieku, który poszukuje miejsca, w jakim mógłby być sobą i zaznać tym sposobem wytchnienia. Opowiadanie zilustrowałem fotografiami, na których ich autor – mój brat, Piotr wizualnie ukazał ducha Nowego Jorku.

Pole bitwy to opowiadanie o bitwie, która rozgrywa się między Laurą i Leonem o spokój w ich relacji, a także na płótnie – o „grecki ton”.

Opowiadanie pt. *Resuna* jest wizją przyszłości w krytycznym odniesieniu do dzisiejszych trendów, o miejscu, w którym panuje niemal absolutna równość i związany z nią spokój; jednak spokój ten nie może być utrzymany, co czyni z

opowieści dystopię. Opis miki jest tu w znacznej mierze fikcyjny i nie stwierdzono właściwości leczniczych tego minerału, dlatego nie należy się tym wątkiem sugerować w życiu realnym.

Ostatnie opowiadanie pt. *Slovia Psycho* ma przekaz o patologicznym spokoju, nie osiągniętym drogą filozoficzną, lecz psychopatyczną obojętnością i brakiem empatii.



Rafał Aleksander Witkowski – ur. 1980, autor filozoficznej książki pt. *Imponderabilia. Opus Magnum*, w której sprecyzował swoją filozofię egzystencjalnego autonomizmu, rozprawy historyczofizycznej pt. *Anatomia totalitaryzmu* oraz zbioru esejów o sztuce pt. *Sztuka i jej konteksty*. Jest historykiem sztuki, absolwentem Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, członkiem Polskiego Towarzystwa Filozoficznego oraz Towarzystwa Miłośników Historii – Warszawskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego.



s p o k ó j

Drewniany most nad rwącą rzeką z wirami to częsty widok tu w Nowegii. Wiele z takich konstrukcji miałyby zapewne wiele do powiedzenia o bywalcach, których każda jedna historia życia mogłaby posłużyć za temat do przynajmniej jednej książki. Jednak ten most jest wyjątkowy w tym, że taką historię opowiada do dziś od 1893 roku.

Inger była młodą, ale bardzo dojrzałą dziewczyną. Doświadczyła ją jedna z odmian *dementia praecox*, odmian którą dziś nazwalibyśmy schizofrenią (i to też jedną z wielu odmian schizofrenii) i którą psychiatrzy jedynie zaleczali lodowatymi kąpielami. Skąd się wzięło doświadczenie u oziępszej dziewczyny? – ktoś mógłby zapytać. Demencja wszystkim kojarzy się z wegetującym człowiekiem, do którego nie docierają żadne bodźce, i który na nic nie reaguje. Tymczasem *dementia praecox* dotyka bardzo wrażliwe i głęboko myślące osoby. Ilość wrażeń, jakie odbierają i ilość myśli, jakie przechodzi im przez głowy (w niekontrolowany sposób u osób nie leczonych) sprawia, że zatrzymują się w miejscu. To tak, jak z ruchem przedmiotu czy raczej z jego drżeniem, które osiąga taką częstotliwość, że ów przedmiot zdaje się zawieszać w miejscu. Ilość wrażeń i tych dobrych, i

tych złych przytłacza osoby chore, ich umysły nie dokonują selekcji doznań, tylko są tych wrażeń rezerwuarami po brzegi wypełnionym. Termin *dementia* jest mylący, zważywszy że osoby ze schizofrenią potrafią rozpamiętywać bardzo dawne sprawy. Tak było właśnie z Inger.

Czując bardzo głęboko i potrzebując miłości jako antidotum na doznania i świadomość złych rzeczy, miłości która by zdominowała jej świat, jaki był bezustannie w ciemno – szarych tonach, wyglądała na kogoś, kto ma obsesję na punkcie ukochanego, jednak przecież to nie była obsesja. Potrzeba miłości była w niej tym silniejsza przez to, że trudno było jej wykonywać jakichkolwiek zajęć – tak przytłoczoną duszę miała.

Klaus, ukochany Inger, miał bardzo stoickie, wręcz zimne usposobienie, jednak to była tylko powierzchwnia. Pod skórą, kryła się również wrażliwa dusza, która bardzo współczuła Inger. Do tego stopnia, że zastanawiał się czy nie jest z nią tylko z litości. Nie mógł jej poświęcić tyle czasu, ile by ona chciała, ponieważ miał codziennie wiele spraw do załatwienia. Pewnego dnia przez wstrząs, jakiego doznał w związku ze słowami Inger coś w nim się załamało. Słowa te brzmiały: „Obiecuj kochany Klausie, że zawsze będziesz ze mną. Bo wiesz, jeśli mnie zostawisz... zabiję się”. Od tego

momentu w duszy Klause panowało straszne zamieszanie, zdominowały go sprzeczne uczucia i myśli. Teraz już nie wiedział czy ją kocha, czy nie. Z jednej strony potraktował jej słowa jako szantaż moralny, z drugiej współczuł jej zbolącej duszy. „Jak ona może żyć ze świadomością, że jestem z nią przez jej słowa? Czy ona ma jeszcze godność? Czy z mojej strony nie jest to już wyłącznie litość?”. W innej chwili mówił sobie: „Rzeczywiście nie mogę nigdy zostawić tej biednej dziewczyny. Kocham ją i czuję się za nią odpowiedzialny”. Nie dzielił się z Inger swoimi odczuciami, bo wiedział, że to by ją dobiło. Udawał, że jest między nimi, jak dawniej. Inger miała otępienie, ale głupia nie była i po pewnym czasie głęboko zdała sobie sprawę, co swoimi słowami uczyniła – że unieszczęśliwiła nimi swojego ukochanego i siebie. Ale nie umiała przyznać tego wobec Klause. Ona także udawała, że nic się nie stało. Wszystko to przytłaczało ją dodatkowo, a lodowate kąpiele już jej nie pomagały. Chodzić zaczęła na długie spacery, podczas których próbowała porządkować swoje myśli i uczucia. Tymczasem myśli i uczucia zaczęły być jej jedyną rzeczywistością, świat dla niej był już nierealny, rozpływał się. Codziennie przemierzała ów drewniany most, mijając niczym zjawą ludzi. A może to ludzie byli widmami?

Był szary, jesienny poranek. Ten sam most, co zwykle. Pojawił się impuls w głowie Inger i było już po wszystkim. Jej wewnętrzny świat, tak ponury, ale przecież jednocześnie tak bogaty, został porwany wraz z cielesną powłoką przez wartki nurt rzeki. Byli tego świadkowie. Klaus jeszcze tego samego dnia dowiedział się o wydarzeniu. Poczucie winy nie chciało go opuścić, choć z drugiej strony wiedział, że ukochana była chora. Zdał sobie sprawę, że był z nią nie tylko dla niej, ale i dla siebie. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że ją kochał. Starał się zrozumieć, co działo się w jej głowie. Wiedział, że była chora, jednak niejednokrotnie słyszał od swojego ojca, że zdrowy chorego nigdy jeszcze nie zrozumiał i słowa te dźwięczały mu w uszach, mimo że sam popadł w głęboką melancholię. Nie przeszło mu przez myśl, że to wydarzenie mogłoby zaważyć na trwał i na jego zdrowiu, jednak robił ze sobą wszystko, by ten stan już mieć za sobą. Próbując zrozumieć to, co się stało, chodził w te same miejsca, w których bywała Inger. Spacerował wzdłuż rzeki i przez drewniany most. Mijał pośpiesznie tych samych ludzi. Choć niektórzy z nich wiedzieli o wydarzeniu i współczuli Klausowi, to nie emanowało z nich nic co by jemu, nieszczęśliwemu wyjaśniło czyn czy raczej anty–czyn ukochanej. Szukał też odpowiedzi w książkach Ibsena,

Strindberga, Dostojewskiego i Tołstoja – autorów, którzy przecież dużo wiedzieli o życiu i cierpieniu. Poza tym dowiedział się o istnieniu niezwykłego artysty malarza, który sam wiele przeszedł i wycierpiał – Edvarda Muncha. Poznał go osobiście, widział wiele jego obrazów, które są anatomią ludzkiej psychiki i problemów egzystencjalnych typowych dla tamtych czasów, ale i uniwersalnych, ponadczasowych.

W pewnym momencie w głowie Klause rozpoczęła się bitwa, jakiej nie doświadczył nawet po pamiętnych słowach Inger. Hamletowskie „być albo nie być” stało się jego nie uświadomionym mottem. Wyszedł z depresji i wzniósł się na poziom walki. „Tak, byłem zimny, jednak dawałem z siebie wszystko” – prowadził wewnętrzną rozmowę. „Może moje rozterki i niedowierzanie w samego siebie były widoczne, może Inger to zauważyła?” – myślał innym razem. „Co ją do tego pchnęło?! Boże odpowiedz?! Czy to moja wina?!” – wykrzykiwał. „Jak mogłaś być tak egoistyczna?! Jeśli wiedziałaś, jak będę cierpiał przez ciebie, to tym gorzej!”.

Jeszcze raz poszedł na most, było to nad ranem, dopiero świtało, nie było ludzi. Wszedł na barierkę. Popadł w zadumę. Poczul ten sam wiatr, te same deski pod sobą, ten sam szum

wody, które poczuła Inger. Kiedy poczuł gotowość do rzucenia się w wiry rzeki, natychmiast zrobił w tył zwrot.. Pobiegnął wzdłuż mostu, wydając z siebie długi krzyk. Za nim pojawiło się dwoje ludzi – świadkowie tego zdarzenia. Pobiegnął do domu i położył się do łóżka. Zasnął natychmiast. Gdy obudził się, poczuł spokój, jakiego od dawna nie zaznawał. Spokój utrzymywał się. Nie zaznał by go, gdyby nie stanął oko w oko ze swoją traumą, jednak to odkryli psychologowie trochę później.

Edvard Munch dowiedziawszy się o zajściu, namalował je. Obraz zayttuował *Krzyk*.

Też rzeka jest dzisiaj spokojniejsza.



1498

Miasto czerwonej lilii – Florencja. Rok 1498, a więc *Achsenzeit*, moment zwrotny w dziejach. W 1492 roku Kolumb odkrył Amerykę, wyparto Maurów z Granady, nastąpiły wydarzenia, które przeorientowały myślenie. W 1453 roku podbity został Konstantynopol przez Turków, przez co do Europy napływały kolejne fale uczonych bizantyńskich, którzy przynosili ze sobą humanizm i ponowne odczytanie Arystotelesa i Platona; wiele idei mogło docierać do wielu ludzi dzięki wynalazkowi druku; odrodził się antyk, a początki temu dali Dante, Petrarka, Boccaccio, Giotto – właśnie we Florencji. 1492 rok to także czas, w którym nastąpiły zawirowania dynastyczne, a zatem i układ sił w Europie, był to bowiem rok w którym zmarł Lorenzo de Medici „Il Magnifico” – godny kontynuator polityki florenckiej rodziny bankierów – Medyceuszy. Lorenzo zapisał się w historii przede wszystkim jako wielki mecenas artystów takich, jak Botticelli, Michał Anioł i humanistów: Ficino, Poliziano, Pico della Mirandola. Przez wielu współczesnych Medyceuszom, ale i wieki po nich, ich rządy określane były jako tyrania. Niewątpliwie doszli do władzy dzięki własnym fortunom i obsadzaniu swoimi ludźmi kluczowych stanowisk np. w Signorii florenckiej. Jednak nikt nie zwrócił uwagi na fakt, że dzięki nim wygasły bratobójcze

konflikty, jakie toczyły się we Florencji od XII do XIV wieku między gwelfami i gibelinami. Cóż, może Hobbes miał rację, że silna władza bywa zabezpieczeniem przed „wojną wszystkich przeciw wszystkim”.

Społeczeństwo Florencji w drugiej połowie XV wieku było hedonistyczne, a kultura stanowiła syntezę pogaństwa z chrześcijaństwem – to wszystko nie wszystkim jednak podobało się, dla wielu był to czas wyczekiwania na odnowę, jakiej spodziewano się w okolicach okrągłego 1500 roku. Jednym z tych ludzi był dominikanin Girolamo Savonarola.

Taddeo di C. to młodzieniec, jakby wyjęty z obrazu Botticellego – szczupły, o brązowo – rudych włosach z lokami u szyi, wężykowatych ustach, strojący się w ubrania, podkreślające jego sylwetkę, jak to było w modzie wśród wyższych sfer. Taddeo di C. jednak przynależał do, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, klasy średniej. Jest synem wysoko postawionego przedstawiciela Cechu Welniarzy, a on sam należał do bractwa muzycznego. Kochał muzykę, szczególnie poświęcał się grze na lutni. Komponował i pisał pieśni.

Taddeo di C. ubierał się nieco snobistycznie, jednak nie interesowało go życie arystokracji, a od polityki nie tyle stronił z niechęci, co go absolutnie nie interesowała. Było to niezwykle w

społeczeństwie florenckim, które było od zarania rozpolitykowane, a florencka *libertas* z czasów Republiki była dumą każdego jej obywatela i towarem eksportowym (dystrybuowanym nieraz siłą). Taddeo poświęcił się swoim pasjom w pełni. Czy to wszystko, jak go tutaj pokazuję, świadczy o tym, że był pięknoduchem w naszym pojęciu? A może jednak kimś, kto poświęcił się temu, co naprawdę ważne? W dodatku, był człowiekiem głębokiej wiary, ale takiej dalekiej od dewocji. Jego wiara była bardziej ugruntowana filozoficznie, niż religijnie. Do tego ujmujący w obejściu się, zyskiwał sympatię wielu młodych i starszych. Zyskał też szacunek, dzięki swoim talentom i wiedzy, które to cechy wówczas miały większe znaczenie.

Pewnego ranka 1498 roku poszedł do San Marco na kazanie Savonaroli (rzadko to robił, bowiem wiarę przeżywał wewnątrznie), który od czterech lat sprawował władzę we Florencji, zaprowadzając w niej teokrację. Coś wcześniej słyszał o tym kaznodziei, jednak nie wiedział o wszystkich aspektach jego panowania, ani jak osiągnął władzę. A zdobył ją paradoksalnie dzięki między innymi intrygom przyszłego papieża Juliusza II wymierzonym przeciwko Medyceuszom, ale i samemu Savonaroli; w 1494 roku dominikanin wydobyl z

opresji Florencję, na które to miasto wyruszył król Francji Karol VIII, a która została prawie skompromitowana przez politykę Piera de Medici, syna Lorenza – na ten moment, kiedy wygnano Medyceusza z miasta, datuje się początek władzy kaznodziei. Postanowił on zaprowadzić moralną odnowę w mieście, potem w całej Toskanii, Europie i wreszcie w całym Kościele.

Savonarola skończył już z ogłaszaniem swoich wizji o końcu świata – obywatele Florencji byli zmęczeni już bieżącymi katastrofami takimi, jak kolejna epidemia dżumy w 1497 roku. Dominikanin zaskarbił sobie zresztą serca rzesz mieszkańców swoją postawą podczas zarazy. Teraz – na początku 1498 roku – ganił papieża i jego otoczenie za korupcję, symonię, rozpolitykowanie, zbytek. Głosił to i próbował dokonać tego, co zrobił w 1517 roku Marcin Luter. Tak jak poprzednie mowy, tak i teraz przybierały jego kazania formy niezwykle ekspresyjnego spektaklu. Przyciągał tłumy swoich stronników: „płaczków” (*piagnoni*), którzy mieli zaciekłych wrogów w rzeszach „wściekłych” (*arrabiati*) oraz zwolennikach Medyceuszy (*compagnacci*).

Również tego ranka, w którym na kazanie przyszedł Taddeo w San Marco zgromadziły się tłumy „płaczków”. Z ust dominikanina wybrzmiały słowa:

„Pierwszym miastem, które zostanie odnowione, będzie Florencja... tak jak Bóg wybrał lud Izraela, by został poprowadzony przez Mojżesza przez udrękę ku szczęśliwości... tak teraz lud Florencji zostanie powołany do podobnego zadania, pod przewodem jego własnego proroka, nowego Mojżesza... w wieku sabatowym ludzie będą się radować w Nowym Kościele; i będzie tylko jedna trzoda i jeden pasterz.”
(tłum. Jerzy Korpanty)

Taddeo zrozumiał przesłanie, choć nie interesowało go reformatorstwo ani polityka. Usłyszał, że mają nadzieję zmiany. Jednak z czego na co, nie zdawał sobie sprawy, żyjąc ciągle w swoim świecie.

Po kazaniu, idąc ze spuszczoną głową, zamyślony, niechętny szturchnął ramieniem strażnika miejskiego. Choć główną władzę dzierżył Savonarola, struktura rządów oraz służb była podzielona i w nich również znajdowali się *arrabiati* i *compagnacci*. Najwyraźniej i ten strażnik należał do któregoś z tych stronnictw, bo zareagował wobec Taddea: „Podobało się, co?”. Było to pytanie nie jednoznaczne, nie wybrzmiał w nim *expressis verbis* ton niechęci, bo nie mógł, ponieważ Signoria

generalnie, w większości jeszcze sprzyjała dominikaninowi. Jeszcze. Poparcie i dezaprobata napływały falami o zmiennych rytmach. Oczywiście Taddeo nie zdawał sobie sprawy z tych wszystkich meandrów i niuansów. Wiedział tylko, że miał tego dnia przed oczami proroka. Utwierdził się w przekonaniu, że on i jego ojciec słusznie zrobili oddając jedną z lutni – tę bardzo ozdobną – na „palenie marności” na stosie z przedmiotów zbytku, luksusu, książek, obrazów itp. Lutnię znacznie surowszą zachował przy sobie, bowiem nie potrafił wyrzec się swojej miłości do muzyki, grania, komponowania, czego zresztą też Savonarola oczekiwał od społeczeństwa.

Częściej niż na msze czy kazania rozmyślał i miał w tym pewne przygotowanie formalne, bowiem uczestniczył w dyskusjach organizowanych przez neoplatońską Akademię Florencką kierowaną przez Marcela Ficina. Tam właśnie wykuwały się idee neoplatońskie, kojarzące Platona z chrześcijaństwem, Platona z Arystotelesem. Najważniejszymi zagadnieniami ściśle filozoficznymi były w niej miłość i piękno. Przeanalizowano tam na wszystkie możliwe sposoby *Ucztę* Platona, a Ficino ukuł pojęcie „miłości platonicznej”, rozumianej tak, jak ją dzisiaj nadal rozumiemy. I właśnie w Akademii Taddeo nie tylko że nauczył się tego pojęcia czy żyć i

kochać zgodnie z nim, lecz odkrył dzięki dyskusjom, że tę miłość już nosi w sobie. Miłość do Marii, którą codziennie obserwował, kiedy chodziła na sprawunki na rynek nieopodal domu jego ojca. Ona nie wiedziała nic o jego istnieniu, on nie wiedział nic o niej oprócz tego, że lubiła owoce, których dużo kupowała no i oczywiście, że była piękna.

W Akademii nie podejmowano tematów politycznych. Savonarola i tak wykazał się dużą tolerancją wobec tej instytucji, która kultywowała pogańskich filozofów. Rozmawiano o sprawach ważniejszych. Piękna nie kojarzono wcale ze sztuką – to nastąpi dopiero w XVII – XVIII wieku. Dyskutowane było wspólnie z prawdą i dobrem i w kontekście miłości, czyli po platońsku. Jednak Taddeo swym wizjonerskim umysłem wybiegał z tym wątkiem daleko naprzód, bowiem uznał, że skoro zasadą sztuki jest prawda, to i musi być sprzężone z nią piękno. Tym bardziej, skoro i w jego utworach pojawiał się na ogół wątek miłości – oczywiście do Marii. Skoro ujmowano sprawę miłości po platońsku w kontekstach prawdy, dobra i piękna, to dla Taddea esencją sztuki było piękno. Doszedł do tego nie tylko sylogizmami, ale i głęboką intuicją. Zresztą proszono czasem Taddea, by grał i śpiewał coś swojego. Spotykał się zarówno z pochwałami, jak i z – jak przystało na

takie miejsce – konstruktywną krytyką i radami od bardziej doświadczonych twórców i humanistów.

Taddeowi mijały dni na dyskusjach, graniu, tworzeniu i czytaniu, gdy tymczasem sprawy publiczne zaczęły zaostrzać się. Do papieża Aleksandra VI doszły wieści o płomiennych kazaniach dominikanina, krytykującego Kościół. I tak zaczęła się jedna z największych zbrodni, jakie odbyły się na żarliwych chrześcijanach. Tym razem zbrodnia popełniona została przez samo papieństwo. Aleksander VI wywodził się z okrutnego rodu Borgiów, i skoro z bezwzględnością traktował najbliższych, nie widział powodu, by nie obejść się tak też z dominikaninem. Na Savonaroli wymuszono zeznania okrutnymi torturami. Signoria już nie sprzyjała mu – nastąpiły w niej przetasowania i przeorientowania. Savonarola ostatecznie został skazany na śmierć przez powieszenie.

23 maja 1498 roku przed Palazzo della Signoria, dzisiejszym Palazzo Vecchio, zgromadziła się niemal cała Florencja – stutysięczny tłum, w którym byli zwolennicy i przeciwnicy Savonaroli, przybyło także bardzo dużo obojętnych czy też raczej wyczekujących jakiegoś cudu. Taddeo o tym, że ma nastąpić egzekucja kaznodziei wiedział zarówno od członków Akademii, jak i swojego ojca. Obaj postanowili zostać

w domu, choć odczuwali ogromny żal za los dominikanina.

Na szafocie byli obecni także dwaj inni dominikanie – współpracownicy Savonaroli. Ten będąc między nimi wyrzyknął ostatnie słowa: „Chrystus wiele za mnie wycierpiał”, jakby chciał oznajmić, że nie jest godzien skojarzeń, jakie zdarzenie to budziło. A miejsce tej zbrodni w istocie stało się nową Golgotą. Po egzekucji nastąpiło palenie wisielców. Spośród tłumu wykrzyknął jeden młodzieniec: „Hańba! Borgiowie niech idą do diabła!” Straż miejska ruszyła za chłopakiem, który zaczął uciekać. Biegł tak przez ulice Florencji, aż ścigany zostawił daleko w tyle straż. Nie mogąc nabrać tchu, zatrzymał się przy jednym z domów. Zakołatał w drzwi. Otworzył Taddeo di C. „Proszę cię o schronienie panie” – oznajmił zadyszany chłopak. Taddeo pozwolił mu wejść, a scenę tę widział jeden ze straży, który uczestniczył w pościgu. Drzwi zamknęły się, a Taddeo wskazał chłopakowi okno z tyłu domu, przez które ten mógł uciec. Tymczasem funkcjonariusz walił w drzwi. „W imieniu Signorii rozkazuję otwierać!”. Taddeo otworzył i zobaczył strażnika – tego, którego potrącił wychodząc z kazania Savonaroli w San Marco. Funkcjonariusz zażądał wydania zbiega. Taddeo oniemiał z przerażenia sytuacją. „A to ty, z San Marco! Podać swoje imię!”. Taddeo wykrztusił z siebie

odpowieź, po czym strażnik odparł: „Pójdiesz ze mną”. Gdy wychodzili, gwardziście przemknął widok opartej o ścianę lutni.